№ 87. Warszawa, dnia 17 (29) Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

Studyum literackie.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 86)

Niepodobna nam rozszerzać się zbyt długo nad wieloma jeszcze dziełami Musseta, napisanemi prozą lub wierszem — przeszłoby to zakres pisma, a przyjąćby musiało formę książki. Nie będziemy się więc zastanawiać szczegółowo nad jego „przysłowiami dramatycznemi, komedyami i dramatami," z których kilka jak: *Un Caprice, Il ne faut jurer de rien, Il faut qu'une porte soit ouverte ou fermée, le Chandellier*, było przedstawianych na scenie. Na scenie polskiéj o ile wiemy jedno tylko: „*On ne badine pas avec l'amour.*" (w Krakowie w r. 1872). Fantazye dramatyczne Musseta jako: *A quoi rêvent les jeunes filles*, splecione z *les Caprices de Marianne*, i inne, są rzec można kaprysami, w których obserwacya i szał, melancholia i uśmiech, wyobraźnia i humor, zachwycają naprzemian więcéj jeszcze czytelnika aniżeli widza. Silniejszego pokroju dramaty jak: *André del Sarto i Lorenzaccio* nie tyle mu się powiodły, ile owe króciuchne szkice, połyskujące brylantami, a kapryśną swobodą i bogactwem fantazyjném, więcéj jego talentowi odpowiednie. W ten poczet zaliczyć także trzeba dramat pięcio-aktowy p. t. *La coupe et les lèvrs*, którego główny bohater Karol Frank, jakkolwiek przypomina Manfreda i innych bajronowskich bohaterów, przecież ma swój indywidualizm własny i oryginalny.

Pycha, niepokój i namiętność — oto jego hasła, przez które staje się *nieszczęśliwy*. Mimo ustępów mogących uchodzić za arcydzieło, całość przecie zanadto jest ponurą i męczącą. Z dzieł Musseta wyłącznie napisanych prozą, to jest z Nowell i Opowiadań (Nouvelles et Contes) najwięcéj i słusznie podobać się muszą: „*Les deux maitresses, Frédéric et Bernerette, Histoire d'un merle blanc.*" Znakomite są stylem, i choćby dla téj jednéj zalety, zajmą na zawsze niepospolite miejsce w literaturze francuzkiéj. Chcemy jednakże i uważamy za stósowne obszerniéj zastanowić się nad jednym z utworów Musseta, który w swoim czasie narobiwszy niezmiernéj wrzawy, tłómaczy najlepiéj może indywidualność i rodzaj talentu Musseta, a zarazem współczucie ogólne, jaki utwór ten naturalnym sposobem zdołał sobie pozyskać. Dziełem tém jest: *Spowiedź dziecięcia wieku, La confession d'un enfant du siècle.*

Był czas kiedy wrażenie *Wertera* było tak ogromne, że młodzież w łby sobie strzelała, Europa cała czytała go, rozmaicie komentując, Napoleon nosił romans ten w tornistrze pod piramidami, a w Niemczech przedrukowywano go niby baśń ludową na bibule. Krytyka ówczesna i to znakomitsza, nie wiedziała co z tym fantem począć, nikt nie umiał dokładnie zdać sobie sprawy ani z postaci Wertera, ani z wrażenia jakie budził mimowolnie a potężnie. Dziś pojmujemy dla czego chorobliwy Werter stał się tak głośnym, wiemy, że był wyrazem zdenerwowanéj społeczności XVIII wieku, a więcéj może jeszcze epoki na wskroś sentymentalnéj.

„Spowiedź dziecięcia wieku" jest wypływem powinowatych a jednak odmiennych okoliczności, wyobrażeń, i wpływów wieku, do czego dodać też trzeba odrębną narodowość i odrębne tradycye piszącego.

Nieszczęśliwy a wielki Bajron stał się ofiarą choroby wieku, sceptycyzmu, niewiary, a zarazem chęci zgłębienia i opanowania tajemnic nieśmiertelnych. Z rozpaczą woła przez usta Manfreda w chwili gdy gromi demonów: „Noszę w piersiach taką mękę, że do niéj wasze udręczenia nic dodać nie są w stanie... Dusza która jest nieśmiertelną sama jest początkiem i końcem zła... sam siebie zniszczyłem i będę niszczycielem jeszcze w życiu, które się zbliża," Odtąd cała rzesza nieszczęśliwych i złamanych poczyna biadać;—umysł ludzki podnosi bunt przeciw wszystkiemu co istniało, co istnieć może, a serce zalewa się ponurym smutkiem. Ani nauki ani ambicya nie dają już zadowolenia, wszyscy cierpią bo *wątpią*, wszystkich toczy robak melancholii, i każe narzekać na niemożebność życia, na niestałość uczuć, na źle urządzone społeczeństwo.

Tę chorobę wieku przechodziło pokolenie nad którego głowami huczały olbrzymie wypadki rewolucyi roku 1789,—i przechodzi je dzisiejsze, z pewnemi tylko odpowiedniemi chwili odcieniami. Podawali na nią myśliciele rozliczne lekarstwa — dotychczas bez skutku. Jedni kazali kosztem najdroższych przekonań, krwi serdecznéj, szukać bezwzględnéj *prawdy*, w niéj upatrując jedyne i ostateczne zbawienie;—inni bacząc na ułomność natury ludzkiéj, na wiarę człowieka w fatalistyczne przeznaczenie, radzili dobijać się *spokoju*. Lecz któż może mieć kiedy pewność, że do prawdy dotarł, któż wskaże drogi po których iść trzeba ażeby osiągnąć spokój, i czy drogi te właściwie nie będą takiemi, że zetrą z człowieka znamię nieśmiertelne, że dając mu ostatecznie spokój, nie zrobią tego spokoju bezmyślnym, apatycznym, bydlęcym prawie?

Bądź co bądź, epoki przejściowe, epoki przesileń bywają krwawe dla gromad ludzkich, dą-

żących naprzód ku doskonalszéj przyszłości, i dla tego tak często daje się słyszeć przeciągły jęk boleści, lub straszliwy okrzyk zwątpienia...

Rozmaite narodowości, rozmaicie, bo na tle własnych tradycyi, narodowéj przeszłości i własnego społecznego, politycznego jako też i moralnego ukształtowania—wyrażały tę walkę, ten mozolny pochód naprzód.... Bajron jakkolwiek ją skosmopolityzował, wyszedł przecież pierwotnie ze stanowiska czysto-angielskiego, powstając na urządzenia społeczne i prawne swego kraju;—inni pochwyciwszy jego ideę, odziedziczywszy w spuściźnie jego dążenia niespokojne i tak zwany „Weltszmerz” szerzyli go daléj na swoim gruncie, lokalizując tylko przyczynami właściwemi swéj narodowości. Inaczéj też być nie mogło. Upadek np. Napoleona inaczéj oddziałał w ojc[illegible]yźnie Bajrona, inaczéj w państwie któ[illegible] cesarzem. Francya ocucona w ro[illegible]zéj pobudzona do życia nowego, [illegible] najzupełniéj nowych zasadach [illegible]ała się nagle przodowniczką [illegible]wilowym swym zaś upadku i [illegible]kcyi, ujrzała nagle u siebie nie[illegible] a ogromną otchłanią rozwierającą [illegible] socyalną, z którą się najściśléj łą[illegible]westya religii i moralności.

To co Francya odczuła u siebie po tak niesłychanym wypadku dziejowym, jakim była rewolucya roku 1789 i wielkość Napoleona, odczuć musiano odpowiednio i stosownie do miejscowych okoliczności, wszędzie gdzieindziéj. W ogóle umysł był zadowolony, podniesiony, olśniony niemal tryumfem nad spruchniałym światem starych wyobrażeń, tryumfem nad postawieniem pierwszych fundamentów nowemu... ale uczucie, któremu nadano zwrot tak niespodziany, często szorstki i bezwzględny, było zranioném... Łańcuch ludzkości spoił się silniéj, organizmy społeczne zyskały na tych zbawiennych wstrząśnieniach, ale członkowie tych organizmów, zwłaszcza też przy wybujałym z nowym stanem rzeczy indywidualizmie, odcierpieli w pierwszych chwilach srodze, a i dziś jeszcze cierpią i cierpieć może jeszcze będą długo... Powtarzają się w czynie słowa Manfreda: „Sam siebie zniszczyłem, i będę niszczycielem jeszcze w życiu które się zbliża.”

Rozbudzony w dobie wielkich wypadków entuzyazm, energia woli i czynu, nie dostały się w spadku następnemu pokoleniu, które skutkiem tego zniechęcone, zmęczone, wzgardziło teraźniejszością, wielbiąc jedynie krótkotrwałą przeszłość. We Francyi szczególnie, ognisku największych nadziei i największego wkrótce rozczarowania, młodzież przerzuciła się w negacyę, w zuchwałą pogardę religii i wiary, w owo zwątpienie ukazujące oczom duszy jako ostatni rezultat: nicość, a w jego następstwie materyalizm gruby i rozpustę.

Rolla Mussetowski jest właśnie takim przedstawicielem braku wiary we wszelki ideał, rozpusty opierającéj się na téj pewności, że tu na ziemi kończy się wszystko, bo po za grobem.... jest niedocieczony chaos ciemności, jest niewskrzeszalna śmierć, jest nicość.

Musset też głównie należy do tych poetów, którzy czując tę fatalność ciążącą na młodem pokoleniu, wzrastającą ze zgubnym posiewem w piersiach, nie zdołał się z niéj otrząsnąć, ale sam upadając moralnie, nie świecąc własnym przykładem innym, jakby po jego geniuszu wymagać należało, zgodził się otwarcie na wyznanie winy, ochrzciwszy ją nazwą „choroby wieku,”—siebie zaś „dziecięcia wieku.” W tym duchu, w tym celu, w téj rzec można nawet tendencyi, napisał swoją „Spowiedź,” która się tak sympatycznie odbiła w piersiach tylu niestety chorych „dzieci wieku.” Upominano w swoim czasie poetę, iż nie w taki sposób powinien wieść za sobą społeczeństwo, że geniusz winien się otrząsnąć z naleciałości bieżących, przygniatających go do ziemi, i wskazywać drogę naprzód, w daleką przyszłość, gdzie nie ma zwątpień, rozpaczy i przekleństw;—daremnie!—indywidualizm jego nie dał się nagiąć inaczéj, nie dał odrodzić, i został takim do końca.

Utwor ten charakteryzuje najlepiéj Musseta jako poetę i jako człowieka, zdolen jest i w duszy naszych czytelników wywołać niejednokrotnie okrzyk pokrewnego uczucia;... dla tego dajemy go w streszczeniu wybitniejszemi ustępami.

Poeta na wstępie tłómaczy się z napisania mówiąc: „gdybym ja tylko był dotknięty tą straszną chorobą moralną, nie pisałbym, ale jest bardzo wielu tak samo chorych jak ja.”

„Za wojen Cesarstwa, podczas gdy mężowie i bracia byli w Niemczech, zaniepokojone matki wydały na świat pokolenie gorące, blade, *nerwowe*... Dzieci zrodzone w pośród bitew, wychowane przy odgłosie bębna, przypatrywały się sobie okiem ponurém.... W ówczas żył jeden tylko człowiek w Europie—reszta istot wdychała w płuca powietrze, którém on odetchnął... Nigdy nie widziano tak licznego ludu matek zrozpaczonych, a przecież nigdy nie było tyle radości, tyle życia we wszystkich sercach... Dopiero gdy Francya owdowiała po cesarzu, uczuła głębokość ran swych. Starzy żołnierze o posiwiałych włosach powrócili znużeni... uścisnęli wybladłe swe i opuszczone towarzyszki, i pomyśleli o synach którzyby im zamknęli oczy... Dzieci wyszedłszy ze szkół a nie widząc ani szabli, ani jeźdźców, pytali się: gdzie nasi ojcowie? I odpowiedziano im że cesarz umarł..., Wtedy nad ruinami świata, zasiadła młodzież stroskana. Pochodziła ona z kropli krwi palącéj która zalała ziemię... urodziła się w łonie wojny, dla wojny, marzyła o słońcu piramid... W głowach miała świat cały, a gdy spojrzała na niebo i ziemię—widziała tylko pustki... Milczenie trwało ciągle. Gdy młodzież mówiła o sławie, odpowiadano jéj: „wdziejcie habit”, o ambicyi, nadziei, miłości i sile, odpowiadano: „wdziejcie habit.” Trzy przeto żywioły składać odtąd miały życie młodych ludzi; za niemi przeszłość na zawsze zniszczona, poruszająca się zaledwo wśród gruzów i zwalisk, ciągle przysypywana absolutyzmem; przed niemi niezmierzony widnokrąg przyszłości, a pomiędzy temi dwoma światami, niby Ocean rozdzielający stary ląd stały od młodéj Ameryki, morze pełne rozbitków czyli wiek bieżący, który *nie jest ani przeszłością ani przyszłością* a przecież do obydwóch podobny, wiek, w którym za każdym uczynionym krokiem nie wie się nawet, czy się stąpa po ziarnie czy po gruzach. Taki chaos przedstawiał się dzieciom pełnym siły i odwagi... otóż przeszłości nie chcieli oni—przyszłość kochali jak Pigmalion Galateę... pozostała jedynie teraźniejszość, duch wieku, anioł zmierzchu, nie będący ani dniem ani nocą;—ujrzeli go otulonym w płaszcz samolubów, i trzęsącym się ze straszliwego zimna... Z upadkiem Napoleona, z zapadnięciem grobowego kamienia na wyspie św. Heleny, ukazała się na niebie lodowa gwiazda rozumu, a jéj promienie, spowiły świat pogrzebném płótnem. Kazano być spokojnym, odpoczywać. Ale młodzież na to przystać nie chciała. W człowieku walczą na śmierć dwie potęgi skryte—jedna przywiązana do rzeczywistości, oblicza i rachuje, druga pragnie zmierzyć się z przyszłością—i puszcza się w nieznane przestworza. Kiedy namiętność unosi człowieka, rozum płacząc ostrzega go o niebezpieczeństwie, ale skoro człowiek usłuchał głosu rozumu, wnet namiętność krzyczy: „a cóż się stanie ze mną mamże umrzeć?” *W młodych przeto sercach zaczął się budzić niesmak, niedający się opisać. Skazani na nieruchomość i nudy, uczuli w duszy nieznośny ból. Bogatsi stali się rozpustnikami, mniéj bogaci obrali sobie jakiś stan, najubożsi rzucili się na chłodno w morze czynów bezcelowych.* Równocześnie, życie wewnętrzne społeczeństw stało się ponurém, obłuda zawładnęła obyczajem. Z piersi kobiet, wydobył się pierwszy krzyk o niepodległość... Mężczyźni oddzieliwszy się od kobiet szepnęli słowo zabijające, druzgoczące: *pogardę*. Rzucili się w wir zabaw, okraszonych winem i nałożnicami. Artyści i młodzież ucząca się, porwani zostali w ten zamęt, ale miłość uważali jako jedno z dawnych złudzeń. Zastąpili ją.... prostytucyą na chłodno....“ *(d. n.)*

RAMUŁTOWIE.

Powieść współczesna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 86*).

V

Wysiedziawszy tak dość długo na kanapie i nie widząc nawet iż oboje państwo Szerszeniowie podglądali ją potrząsając głowami, różne czyniąc wnioski nad jéj zadumaniem i łzami,— podniosła się Viola nagle, schwyciła robotę, zawołała Pawłową i wzięła się żywo do przerabiania sukienki, która wieczorem była potrzebna.

Szerszeń siadł w przedpokoju przy stoliczku u drzwi i odczytywał rolę, którą miał podpowiadać...

Nie upłynęło pół godziny, gdy żywy bieg po wschodach dał się słyszeć i drzwi się otwarły szeroko. Stał w nich z ogromnym bukietem w ręku Herman...

Nie pierwszy to raz trafiał się natręt na progu. Paweł Szerszeń był dla nich nieubłaganym i żadną w świecie ofiarą przekupić go nie było podobna... Wyprawiał nielitościwie tych młodzików nie dając im progu drugiego pokoju przestąpić; tym razem napad był tak niespodziany, jak nagły, tak strategicznie i ze znajomością miejscowości obrachowany, że nim Szerszeń pospieszył rozstawić ręce i drogę zaprzeć, Herman spojrzawszy tylko nań, rzucił się do drzwi i wprost szturmem do pokoju Violi. Stary leciał za nim próżno usiłując go pochwycić za poły... Zręczny napastnik, nie zwracając się nawet ku niemu, choć za sobą słyszał pogoń, prędzéj wbiegł i stanął przed Violą, niż Paweł pospieszył drzwi przed nim zamknąć...

Dziewczę razem z Pawłową w okularach, robiło około sukienki... uastraszyło się stukiem, podniosło oczy — wyelegantowany Herman, z uśmiechem na ustach, stał w postawie pokornéj, wyciągając bukiet ku niéj.

— Pozwoli pani złożyć u stop swych w ofierze...

Aktorka odzyskała zwykła zimną krew i akcent szyderski.

— Nie, panie—nie pozwolę! rzekła chłodno... a najprzód spytam, czy się tak godzi nachodzić moje spokojne mieszkanie?... Jakkolwiek biedna

i nic nie znacząca... w oczach pana, mam prawo jak każdy do poszanowania mego progu, bom w tém mieszkaniu panią. Raczysz pan...

Wskazała drzwi...

Herman się z gniewu zaczerwienił.

— Gościnną pani jesteś, ale tylko dla wybranych gości...

— Tak, być może, odparła Viola: nikt mi nie ma prawa rozkazywać, przyjmuję—kogo mi się podoba...

— A ja nie mam téj łaski...

— Nie—panie! zimno mówiła Viola.

— Dla czego?

— Dla czegobym się miała mu tłómaczyć?

— Choćby dla tego, z gniewem dodał Herman, żem widział panią z rana... i mogę głosić przed całym światem... kogo pani swą łaską zaszczycasz...

Dziewczę rzuciło nagle robotę, wstało wyprostowane, groźne, z zachmurzoną brwią.

— Możesz pan głosić co mu się podoba! zawołała podniesionym głosem—nie wstydzę się tego co czynię. Ta groźba tak pana pięknie maluje, iż się dziwić nie będziesz, gdy mu powiem, że zasłużyłeś na moją wzgardę...

Załamała ręce...

— Za kogoż mnie masz zawołała podstępując krok ku niemu—za kobietę, która gdyby jednemu dała serce... trzymałaby je otwarte dla wszystkich?... Precz! precz!

Tak gwałtowne były te słowa, ruch i twarz tak groźne się stały, że Herman uląkł się i pożałował swojéj lekkomyślności. Bukiet wypadł mu z rąk.

— Daruj mi pani—odezwał się cicho,—bądź lepszą i wspaniałomyślniejszą niż ja byłem... Miłość może przyprowadzić do szału...

Viola opamiętała się, ręce jéj opadły, poszła do okna płacząc i powtarzając: — Miłość! to ma być miłość!

Herman zawstydzony, wzburzony, upokorzony wymknął się po cichu, a Szerszeń drzwi za nim na klucz spuścił.

VI.

Dom hrabiny Anastazyi z Borzechowskich Ramułtowéj odznaczał się przepychem i wystawnością, jaka się dziś rzadko spotyka. Po największych domach skromniejsze są już daleko przyjęcia, i życie powszednie nie kusi się o nieustanny okaz pańskości i dostatku... Przy wielkich uroczystościach występ bywa i wysiłek wielki, na codzień oszczędza się każdy. Pani hrabina Ramułtowa na tém zasadzała pańskie utrzymanie domu, by u niéj codziennie przepych był jednaki. Liberya paradna nie zrzucała się nigdy; zastawa stołu choćby Jaśnie Wielmożna hrabina raczyła obiadować sama jedna, była zawsze bukietami i srebrami strojna; kamerdyner od ósmej rano wdziewał czarny frak i krawat biały... Ceremoniał dworu nigdy się nie zmieniał... Było to naśladowanie etykiety monarchicznéj i dworów książęcych... Do godziny pierwszéj hrabina nie była dla nikogo oprócz syna widzialna, wiek czynił niezbędném przygotowanie się przed wystąpieniem na świat. Strój do obiadu był inny, inny na wieczór w domu lub wizyty... Dwa razy w tydzień były wieczory w które przyjmowała znajomych... w inne dni schodziło się mniejsze kółko poufałych przyjaciół domu na małego wiseczka, bez którego żyć nie mogła.

Wedle przepisów Herman obowiązany był stawić się na dzień dobry do śniadania, potém na obiad, jeśliby się od niego nie uwolnił z rana o tém oznajmując—nareszcie wieczorem powinien assystować matce. Bardzo jednak często pod różnemi pozorami wyłamywał się z tego, a choć hrabina niepokoiła się, gniewała, posyłała, umiał ją potém uściskami i całusami przebłagać...

Mieszkanie Hermana przytykało do apartamentów hrabiny, ale było od nich zabarykadowane szafą, gdyż u niego zbierało się czasem tak szumne i wrzaskliwe towarzystwo, że przez wszystkie salony aż na drugi koniec domu słychać je było.

Od mentorów i guwernerów uwolnił się młodzieniec od dawna, nadzór zaś pieczołowitéj matki ograniczał się na posyłaniu, dowiadywaniu się o niego, westchnieniach, gderaniu i całusach. Herman robił co chciał, a pieniędzy brał ile tylko mu się wziąć udało...

Przy hrabinie bawiła daleka jéj kuzynka, panna Złocińska, mająca lat około trzydziestu, niegdyś bardzo ładna, dziś jeszcze wcale przystojna... przez którą Herman, gdy sam nie mógł zręcznie wyrobić co u matki, umiał sobie przygotować drogi i wyzyskać co zamarzył. Panna Złocińska miała słabość do młodego chłopca, który czasem za to poobiednie godziny spędzał u niéj, paląc cygaro, na samotnéj gawędzie...

Oprócz panny Złocińskiéj, zwykłe towarzystwo wieczorne składał jeden ksiądz kanonik, przez grzeczność tytułowany prałatem, który doskonale grał w wista i umiał zręcznie prowadzić rozmowę o niczém... nie zaczepiając o żaden przedmiot drażliwy — jeden stary doktor, człek zabawny, dowcipujący nie szkodliwie, tak, że bawił wszystkich a nikogo nigdy nie zranił— i prezes, którego tytuł starożytny niewiadomo do jakiéj odnosił się prezydentury. Prezes miał dwie wstążki orderowe u fraka (miał je i u paltota)—minę urzędową, twarz wygoloną starannie do włoska... Uchodził za polityka... ale nie mówił nigdy nic, chrząkał w najgorszym razie, w innych usta podnosił, brwi ściągał, głową trząsł, ramionami ruszał, a z tych znaków ludzie co go znali, wyciągali wnioski najpewniejsze co do przyszłéj konjunktury polityki europejskiéj.

Jest rzeczą pewną że gdy miała nastąpić wojna z Austryą, prezes ilekroć mówiono o zgodzie, kładł rękę za kołnierz, tarł szyję i chrząkał... Nie było to bez znaczenia. Później doktor i kanonik przypomnieli to sobie, a prezes się śmiał, ale ani przeczył ani potwierdzał że był prorokiem... Hrabina go za takiego uważała.

Wieczorem tego dnia, gdy Herman dostał tak srogą odprawę od Violi, było zwykłe przyjęcie wszystkich znajomych, raz na zawsze zapraszanych. Matka wymagała od syna szczególniéj w te dni, aby się u niéj w salonie koniecznie znajdował. Herman nudził się, ale w tém woli matki posłusznym być musiał. Zapraszał tylko zwykle kilku z młodzieży, z którymi wycofywał się do bocznego saloniku, i tam maleńką grą zabawiali się jak mogli najciszéj.

Przez czas swojego pobytu hrabina koło znajomości umiała sobie wyrobić; bywali mniéj więcéj wszyscy do zachowawczego obozu rachujący się, i co tylko lepszém towarzystwem się zwało. Niektórzy nawet po dobréj wieczerzy nazywali ją szanowną matroną polską...

Schodzono się na te wieczory po godzinie ósméj, ale punkt o ósméj hrabina już siedziała na kanapie, w miejscu, na którém hołdy zwykła była przyjmować.

Spojrzmy na nią, dopóki nie zaczną schodzić się goście...

Przy świecach z dala—pomimo otyłości, hrabina wyglądała dosyć świeżo. Na szerokich ramionach osadzona maleńka główka z rysy drobnemi i regularnemi, usteczka zesznurowane, nosek spiczasty, oczy wielkie czarne, wyraz twarzy melancholiczny, czyniły wrażenie miłe... Rączkę miała białą, pulchną, piękną i nadzwyczaj starannie utrzymywaną. Zdobiły ją kosztowne pierścienie, a do stroju też nigdy nie brakło łańcuchów, bransolet i świecącéj jubilerszczyzny. Złotą lornetkę prawie ciągle musiała trzymać w ręku, gdyż wzrok miała osłabiony... Jakkolwiek starzy partnerowie do wista byli jéj mili, hrabina też lubiła młodzież i mężczyzn średniego wieku szczęśliwie zachowanych, niekiedy posuwała uprzejmość dla nich do tego stopnia, że całemi godzinami bawiła ich rozmową, wdzięcznemi ruchami ręki popieraną.

O ósméj z wybiciem zegara weszła w długiéj czarnéj sukni hrabina, wprost na swe miejsce do kanapy dążąc. Zwykle panna Złocińska, brunetka z żywemi czarnemi oczyma i ślicznemi zębami, towarzyszyła jéj tu, dopóki się goście schodzić nie zaczęli... Herman powinien się był stawić na godzinę ósmą we fraku, rzadko jednak bywał punktualnym.

Tego dnia wyjątkowo stawił się na porę i siadł nawet przy matce... obok panny Złocińskiéj, która się jego bladości z pewnym wyrazem złośliwości przypatrywała.

Matka go wzięła za rękę i pociągnęła ku sobie.

— *Mon cher*, coś ty dziś blado wyglądasz.. po téj wycieczce na wieś...

Złocińska się uśmiechnęła.

— A chciałabym, mówiła matrona, abyś właśnie mi jak najlepiej wyglądał. *J'ai des projets sur vous.* Schyliła mu się do ucha.

— Panna Hanna Junoszanka...

Spojrzała: Herman oczy trzymał spuszczone.

(*d. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dokończenie. (Ob. Nr. 85).

PAN GRABA.

POWIEŚĆ P. ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Niewtajemniczonemu w technikę powieściową trudno nawet zrozumieć, jak dalece zręcznie używa pani Orzeszkowa w kreśleniu postaci, małych na pozór i drobnych szczegółów, które jednakże dają tym postaciom odpowiednią plastykę, pozór i prawdopodobieństwo życia, a czytelnikowi pomagają do przedstawienia ich sobie niemal widomie. Talentu owego chwytania drobnych szczegółów, które jednak razem wzięte dają życiową barwę, nieokazywała pani Orzeszko w dotychczasowych swych utworach. Jeśli usiłowała to czynić, czyniła niedostatecznie, albo niezręcznie; zamiast szczegółów charakterystycznych chwytała karykaturalne, które mogły sobie istnieć w jakiéjś zakazanéj figurze nie mniéj jednakże nie mówiły nic same przez się. W Panu Grabie pierwszy raz wszędzie widać szczegóły nie takie, które to smaży się we własnéj głowie, ale chwytane z pomocą rozumnéj obserwacyi na żywych ludziach.

Równego postępu dostrzegliśmy w p. Orz. i w kreśleniu tak zwanych sympatycznych postaci. Dawniéj ilekroć autorka je malowała, tylekroć zamiast ludzi z ciałem, kościami, wychodzili jacyś dziewiczy bohaterowie (Doktor Lucyan w powieści „W klatce"; Henryk „w Ostatniéj miłości") tak bardzo „sans reproche", tacy cnotliwi, tacy archanielscy, że aż owe zbyt okwite pokłady cnoty, roz-

sadzały zwykle ich ziemską powłokę. Podobne były i bohaterki. Tymczasem w P. Grabie, Celina Klońska np. jest tak sympatyczna, że *„chciałoby się ją zjeść"*, Ryta tak zacna, że mimowoli przyszłoby schylić głowę, a jednakże obie chodzą po świecie, obie pulsują życiem, obie są to żywe kobiety nie zaś abstrakcye. Najwięcéj abstrakcyą jest żona Pana Graby, pani Kamilla. Piękna, smętna, surowa, nieszczęsna jest témbardziéj że mimo całéj niedoli, nie może obudzić sympatyi... nawet w czytelniku.

Jeszcze kilka słów o drugorzędnych nim wrócimy do Pana Graby. Pan Jodek, to typ plotkarza jakich pełno, nietylko na świecie, ale i we wszystkich powieściach; lepsza o wiele jest szambelanowa Słabecka, mięszanina niedołęztwa, słabości, egoizmu i głupoty. Kokieterya jéj z Jodkiem, a raczéj interesowność, jaką okazuje w przyjęciu jego ręki, jest rysem mniéj szczęśliwym.

Ale wróćmy do samego bohatera. Pięknie i niezmiernie prawdziwie ze względów psychologicznych jest jego pomyślany koniec. Poznali się na nim, Graba utracił nagle pozycyę jaką miał dotychczas. Musiałby zstąpić z wysokości na której stał. Przyszła i na niego złowroga chwila. Chwiejna i mozolna budowa stawiana z podłości i cynizmu, oparta na złych skłonnościach ludzkich, zachwiała się i upadła. Nie było możności dźwignąć nowéj. Graba był salonowym nikczemnikiem. Istniały jednak rzeczy, których i on się wstydził, a to właśnie złe towarzystwa. Był to łotr dystyngowany, który nagle poczuł się szulerem karczemnym. Mógł jeszcze ogrywać ludzi, mógł mieć pieniądze, ale nie mógł być tém, czém był poprzednio. Całą mocą wyobrażeń, nałogów, przyzwyczajeń nawykł do wyższych towarzystw. Nie znosił zapachu wódki i złego tytuniu—wolał umrzeć. Jest w tém głęboka prawda. Kto jéj nie wierzy, niech spyta wszystkich zrujnowanych graczów i hulakówpaniczów, dla czego kończą samobójstwem? Przecież każdy z nich może jeszcze paść owce, rąbać drzewo, nosić pakunki, zarabiać grosze, jeść, pić, spać,—słowem żyć. A jednak zabijają się! Jest to także rodzaj potwornego ale wytłómaczonego egoizmu, którego tłem jest rozpacz.

Ale kiedy rozpacz opęta taką duszę, jak dusza Graby, nie przychodzi nigdy sama. Idzie za nią zgryzota i ta ostatnia dopiero wytwarza żal po przeszłości. Rys prawdziwie ludzki. Żyd Widger otwiera oczy Grabie, ukazując mu cele o jakich ani marzył—i to jeden raj utracony. Graba na chwilę przed śmiercią uderza czołem przed zamkniętemi drzwiami sypialni żony. Tak tam cicho, spokojnie! — to drugi raj utracony. Owszem żal podwaja zgryzotę, zgryzota rozpacz... Z nadejściem dnia, Graba wystrzałem z pistoletu odbiera sobie życie.

Skończywszy wedle praw grzeczności, naprzód z ludźmi dobrze urodzonymi, należy z kolei wspomnieć i o Widgerze. Niemałą gra on rolę w powieści pani Orzeszkowéj. Jest to żyd. Błyszczące towarzystwo miasta M. bawi się, hula, rzuca pieniądze; szlachetni panowie i szlachetne damy nie szanują grosza; nie pozwala na to ani zacne urodzenie, ani pański animusz. Ale szlachetni panowie i szlachetne damy nie mają dość pieniędzy. Mieli kiedyś... po ojcach, ale to minęło, równie jak i wiele innych rzeczy. Kto ma jednakże prawdziwie pańską duszę niech teraz o tém nie myśli... „nunc est bibendum"

TRZY CHWILE ŻYCIA SZULERA.



2° Ostatni grosz stawiony na kartę. Układ i rysunek Ks. Pillatego.

a przytém: „querenda pecunia primum est". Kto rozumie czém jest lichwiarstwo dla społeczeństwa polskiego, kto poznał ludzi wchodzących do po- pożycza pieniędzy. Razem mądry i głupi w opinii szlachetnych panów: mądry—bo ma pieniądze; głupi—bo dla czego je chowa? Zwyczajnie żyd. gardy i upokarza ich krwawo, ile razy przyjdą do niego po pieniądze. Oniby nawet nie pożyczali u niego gdyby nie to, że nikt tego nie wi-



Wodospad Tose w Szwajcaryi.

wieści pani Orzeszkowéj, ten łatwo odgadnie rolę Widgera. On to „anima rerum," on to oś tego koła, w którém obraca sią miejscowe towarzystwo. Poczciwy ten stary dziwak Widger, Przebiegły wszystkowiedzący, daje na fanty, daje na niesłychany procent—ale daje: to grunt! Postać to jednak cokolwiek tajemnicza dla szlachetnych panów. Nie kryje on dla nich po- dzi gdy żyd depcze ich nogami, i gdyby nie to, że lepiéj jest być podeptanym nogami żyda, niż nie mieć pieniędzy. Wreszcie Widger to robi z dziwactwa.

Taki jest Widger. Ze stanowiska prawdy artystycznéj, można mu wiele zarzucić. Widger często deklamuje i właśnie dla tego, że w słowach jego nie ma charakterystyki — nie ma i prawdopodobieństwa. Widger również niepotrzebnie rozrzuca perły dla dowiedzenia Grabie że nie dla siebie je zbiera; właśnie jeżeli nie dla siebie zbierał, nie miał prawa dla siebie rozrzucać i t. d.

O znaczeniu społecznem Widgera powiemy niżéj.

Ze stanowiska dobra: powieść czyni zadość wymaganiom naturalnym. Cnota częściowo zwycięża—występek ukarany.

Co do wartości społecznéj, oddajemy całą sprawiedliwość pomysłowi autorki. Książka ma wartość społeczną większą niż artystyczną. Pani Orzeszkowa mądrze postąpiła, chłoszcząc absenteizm, próżniactwo, hulaszczość i nałogi mężczyzn wyższéj sfery społecznéj, a niedołęztwo, głupotę i próżność kobiet téjże sfery. Przy tém dostaje się wadom jakie zwykle kwitną na tle, na jakiém rozgrywa się akcya: dostaje się plotkom, znikczemniałéj opinii publicznéj, dewocyi i t. d. Wydanie na ohydę publiczną nałogu karciarstwa, nie jest w naszych czasach wojną z wiatrakami. Nałóg ten istnieje, a nawet się rozszerza. Ale książka nie ma na celu poprawy takich Grabów; ci już nie poprawią się; autorce chodziło o ludzi w rodzaju Klońskiego, Słabeckiego, Zrębskiego i t. d. A i takich u nas nie brak. Dość przejechać się po małych miasteczkach, gdzie obywatelstwo szuka rozrywki w grach, zapomnienia w winie, ratunku w lichwie; dość spojrzeć na kobiety miejskie i wiejskie, przędące dla zabicia czasu miłe ploteczki sąsiedzkie. Przenieśmy się do stolicy—i tam pokażą nam palcami takich panów — graczów i warchołów, co to zachowali wszystkie wady przodków a ani jednego z nich przymiotów. Eheu! nie brak takich. Książka pani Orzeszkowéj jest przestrogą dla nieupadłych jeszcze, jest wyrzutem sumienia dla poczynających brnąć, jest nawet i co najważniejsza pewną pośrednią wskazówką dla tych którzy chcą podpierać walącą się budowę. Pani Orzeszkowa można rzec pierwsza z kobiet zdobyła się na powieść o szerszém znaczeniu społeczném. W ogóle kobiety w utworach swoich mniéj są objektywne od mężczyzn; tworzą więcéj „postulaty na rzeczywistość", niż odtwarzają organicznie samą rzeczywistość. Malują świat idei i uczuć a do tego najczęściéj własnych; ztąd przy całéj bujnéj fantazyi utwory ich grzeszą nieprawdą, brakiem życia, egzaltacyą, ckliwością, a nawet brakiem zdrowego rozsądku. Ztąd też błahość treści, przy znakomitéj często formie. Przejadły bo się i trochę owo czyste jak łzy bezcielesne dziewice, owi posępni bohaterowie którym do wielkości brak... bagatelki, bo tylko czynów wielkich, a na czyny znów nie mają czasu, bo przecież muszą rozpaczać. Znudził ten cały świat, rozmiłowany we własnéj niedoli, chory na umyśle, gotowy do poświęceń z lada powodu, a rzeczywiście egoistyczny, rozpróżniaczony. Są rzeczy lepsze, o których bardziéj warto i bardziéj potrzeba pisać. Literatura ma inne obowiązki, niż zawracanie głów pensyonarkom, inne, niż płacz nad niedolą głupich, choćby ci najwymowniéj w świecie pytali księżyca, gwiazd i fal morskich, dla czego tacy nieszczęśliwi? Literatura ma obowiązki obywatelskie, którym musi zadosyć uczynić, jeżeli chce istnieć. Ona nie może być sobie celem;—jéj celem ogół, jego dobro.

A tak z piszących niewiast, pani Orzeszkowa jedna z pierwszych to zrozumiała, jedna z pierwszych przestała pisać o niczém, jedna z pierwszych powiedziała sobie: furda uczucia z pod ciemnéj gwiazdy! Przez Pana Grabę pani Orzeszkowa nietylko postawiła silnie stopę na gruncie społecznym, ale co większa—utrzymała się na nim.

Ta objektywność, ten prawdziwy element i żywe poczucie wad społeczeństwa, to już jedna zasługa pani Orzeszkowéj, ale jest i druga, o któréj zaraz mówić będziemy. Wspomnieliśmy, że żyd Widger, ze stanowiska prawdy artystycznéj, jest postacią jeśli nie zupełnie chybioną, to przynajmniéj nie dość trafną; ale tkwi w niéj obok tego i myśl społeczna, któréj tenby chyba nie dostrzegł ktoby nie chciał. Myśl ta w obrazie następującym:

Z jednéj strony występuje szlachta nasza, nasi półpankowie i panowie, ludzie wierzący w zacne urodzenie, w zacną krew, ludzie na wysokim szczeblu drabiny społecznéj, majętni, pełni sił i życia — z drugiéj jako antyteza pierwszych żyd lichwiarz, chciwy jak... żyd lichwiarz, nieczuły na łzy ludzkie, wiecznie głodny złota, wysysający to społeczeństwo, które mu dało przytułek: słowem prawdziwy upiór. Szlachta, półpanki, a panowie, i on.. to zdaje się dwa bieguny... a jednak, ktoby wierzył, że w obec dystyngowanego pana Graby, nawet w obec reszty również dystyngowanych, modnych i pachnących jego towarzyszów—ten żyd lichwiarz jest po prostu bohaterem? Któżby uwierzył?... a jednak tak jest.

Nadmienić jeszcze wypada, że p. Orzeszkowa nie ogranicza się na spostrzeganiu wad społecznych, ale sięga głębiéj—do ich przyczyn. W całéj książce wieje myśl widoma na każdéj prawie stronicy, że jeśli istnieją tacy Grabowie, Słabeccy etc., to wina ich wychowania, to wina ich matek. Niejedna może mamunia dostrzegłszy téj idei, skrzywi się kwaśno lub oburzy... ale kwestya, czy właśnie nie o to między innemi p. Orzeszkowéj chodziło?

Kończymy, szczerze winszując p. Orzeszkowéj nowoobranego, kierunku i szczerze życząc czytelnikom, aby im losy dały więcéj autorek podobnym ożywionych duchem.

PRZYGODY I OBRAZKI ANATOLSKIE.

OPOWIEDZIAŁ

KARA AWDŻI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 86.*)

Idąc po błoniu, miejscami krzakami porosłém, bawimy się stadami turkawek, przelatujących bezpiecznie z drzewa na drzewo, dzięki magicznemu „jasak," i stadami mniéj lekkich wprawdzie bawołów, które w dziwnych podskokach i lansadach, przy oryginalném mruczeniu, pomykają ujrzawszy nas. A i pastuszkowie, chłopaki tureckie z sąsiedniéj wioski, na widok bandy zbrojnych Frenków, szyją się po krzakach i jak kosy wabią się pogwizdując do siebie. Słowem, pojawieniem się naszém zakłóciliśmy spokój téj doliny. Ręczę, że tym dziczkom nic innego nie przedstawia się, tylko iż my jesteśmy bandą opryszków, gotowych rzucić się na nich.

Przyznam się, że gniewać się na nich nie ma za co; bo oto Kirk Baszi, które przed nami za rzeką stoi, wzięło swój przydomek od czterdziestu łbów opryszków, które w niedawnym czasie sprawiedliwość turecka zmiotła w jednym dniu u stóp téj góry, która służyła im za siedlisko. Sądy tureckie żartować nie lubią, a kiedy się zawezmą zbrodnię ukarać, tną winnych i niewinnych. Słychać, że u stóp téj góry, pomiędzy winnymi, wielu padło niewinnych mieszkańców z okolicznych wsi, posądzonych o stosunki z rozbójnikami. Atmosfera turecka jest nawskroś przesiąkła poezyą bandytyzmu; to też nic dziwnego, że dziecko tureckie na każdym kroku widzi samych rozbójników.

Gdyśmy wynurzyli się pod samą Bozannę, gdzie droga zanurza się w zarośla, usłyszeliśmy głos bębna tureckiego, kobzy i piszczałek, które zwykle znamionują tutaj każdy pochód uroczysty. Jakoż za chwilę ujrzeliśmy przed sobą karawanę „hadżich" pielgrzymów z Mekki, którzy powracali do domów. Cała karawana składa się z kilkudziesięciu koni, przybranych strojnie w paradne uzdzienice, podpiersia i szerokie nabedryki, kutasami pąsowemi z wełny i jedwabiu gustownie poubieranemi. Koniki tureckie jakby czują całą ważność obrzędu, to też odsadziwszy ogony i parskając, postępują mierzonym krokiem. Na przedzie karawany jedzie na białym koniu derwisz, z tygrysią skórą na plecach i malutkim berdyszem w ręku, którym odstrasza złe duchy z drogi. Berdysz derwisza posiada jeszcze inną moc, — oto gdy źli ludzie nie zechcą wierzyć słowom tego, kto go dźwiga, to ciśnięty w niebo, najprzód dziurę w niém przekole, a następnie tak płatnie po niém, że cała woda niebieska lunie potopem na niewierną okolicę. Islam ma swe cuda, o jakich nam nie marzyło się nawet! Za derwiszem sunie muzyka, następnie imam z Bozanny i przedniejsi agowie, przybrani w świąteczne zawoje i dolimany; a już za nimi suną pielgrzymi w swych zielonych zawojach. Agowie i wyrostki raz wraz palą z pistoletów wiwaty, witające tych szczęśliwców, co widzieli progi źródła najczystszéj ziemskiéj doskonałości. Świat tutejszy wierzy, to też ostro do wszystkiego bierze się: „dawuł" (*) wali a wali, a piszczałki tak piszczą i brzęczą, że aż mrowie po skórze chodzi i uszy na wylot świdruje! Oryentalne uszy zresztą innéj muzyki nie pojmują; frencka muzyka nie dla nich, bo nie umie drzeć po uszach jak paznokciem po szkle—a w tém cała sztuka!

W ślad za karawaną przeszliśmy most na Rywie, i porzucając w boku Bozannę, skręciliśmy w prawo, na drogę idącą po nad samém korytem Rywy. Droga ta jest brukowana i ślicznie ocieniona drzewami rozmaitemi, i zaraz pnie się przykro pod górę. Oj! te bruki tureckie, kto je raz zwiedził ten, o nich przez całe życie nie zapomni; kładą je tak, aby ludzie i zwierzęta ciągle próbowały co mocniejsze: czy te kamienie, czy ich kości. Kamieniska łokciowe często rębem do góry postawione, nie wiedzieć po jakiemu poukładane, tak że, ani końska, ani ludzka stopa na nich śmiało stanąć nie może. Lecz dla prawowiernego, jest to prawdziwa „dżadde Stamboł gibi!" szosa niby stambulska. Nad Stambuł nic doskonalszego nie szukaj na téj biednéj ziemi! A gdybyś prawdziwemu Turkowi powiedział, że łatwo dałoby się naprawić tę drogę, to wytrzeszczy na cię oczy i ze zdumieniem zapyta: a to na co?—wszakże znowu musi popsuć się.

Hej! fantazyo, héj! wszak pomimo potu, któ-

(*) *Dawuł*, bęben turecki.

rym na wskroś przemokła nietylko koszula ale i ubranie, musisz mi być posłuszna i rozwinąć skrzydła do lotu na widok téj ślicznéj natury, jaka się roztacza w poważnéj krasie przedemną. W lewo, w prawo, w górę, wszędy gdzie mój wzrok dosięże, widzę kraj poszarpany, w zieloną szatę przybrany, nad którym zawisło śliczne niebo tutejsze, ubarwione kolorami zachodzącego słońca. Wzrok pędem orlim przelatuje przezroczyste przestworza powietrzne, a gdzie utkwi, tam poi się przepychem farb i kolorów, jakiemi ten szmat ziemi świeci. Brylantowe promienie zachodzącego słońca musnęły wierzchołki gór, lasem odziane; a te w zamian głowami swemi, w gazę fioletową przybranemi, szlą pożegnanie wieczorne dobroczynnemu światłu!

Spokój taki w powietrzu, że o milę słychać brzęk dzwonka u bydlęcia, albo monotonne przyśpiewywanie chłopięcia tureckiego: „aman! aman!” Od północy jakiś szept lubieżny nadciąga, to uspokojona morska toń Pontu Euksyńskiego zasyła swe namiętne westchnienia strojnemu lądowi, i jak syrena w perlistéj pianie wabi brzegowego kochanka, by się przytulił do jéj wyświeżonego łona. Na dnie doliny, gdzie pomiędzy krzakami i drzewami wije się błyszcząca wstęga rzeki, już mrok zapadł; a ledziuchna mgła, niby przejrzysta sukienka Ondyny, unosi się nad nią. Bek jeleni ozwał się z pół góry, na Kirk Baszi; widać pod noc spuszcza się ostróżne stado ku wodzie.

Cudna bo to ta natura wschodnia! A w tęczowéj powodzi kolorów i woni toną rozkosznie zmysły nawet strudzonego człowieka. Nie darmo ląd ten proroki wydał!...

— A bodaj cię morowe! z tym przeklętym krajem!—tuż koło uszu moich wrzasnął L., a jednocześnie zawtórowało temu skomlenie gończaka, któremu nogę nadeptał, pośliznąwszy się na bruku. To mi najlepiéj przypomniało, czém jest dzisiaj w rzeczywistości Anatolia. Ale oto, Bogu dzięki! już dotarliśmy wierzchołka pogórza i jesteśmy u progu wsi tureckiéj, u stóp Kirk Baszi, do któréj na noc podążamy.

Raźnie przeciągnęliśmy przez wieś, przy hałasie dzieciaków i ujadaniu psów, i dotarliśmy do kawiarni, która ma nam udzielić gościnnego przytułku na noc. Kawedżi (*), stary Turek, to dobry znajomy—nie nowina dla niego wędrówki Frenków myśliwych udających się w te strony; to też serdecznie nas wita głośném „chocz gieldy!”—przybywajcie szczęśliwie.

Kawiarnia nasza, nie można powiedzieć, aby zbyt pokaźnie wyglądała; jest to prędzéj buda kramna, a niżeli zbytkowny lokal, do jakich w Europie przywykliśmy. O okna nawet nie postarano się tutaj, wystawa na ulicę daje światło i świeże powietrze do środka; podłoga z gliny ubita, w koło nizkie ławy drewniane, kilka stołków nizkich, parę mis glinianych pełnych węgla, na którym stoi imbryk z wodą gorącą, półka na filiżanki i szeroka prycza przy wewnętrznéj ścianie,—oto wszystko co taką wiejska kawiarnia przedstawia na pierwszy rzut oka wewnątrz. Ściany z szaréj gliny i pułap okopcony z desek jodłowych, dodają nudnéj harmonii tym pierwobytnym dekoracyom. W tutejszéj kawiarni, jako oznaka sąsiedztwa stolicy, wisi prócz tego na środku lampa naftowa z rewerberem.

Po zjedzeniu wieczerzy, składającéj się ze świeżego chleba i wina, które w sekrecie utrzymuje tutejszy „bakał,” handlarz wiktuałów, Grek, szybko układamy się na pryczy do snu, bo jutro mamy przed sobą kawał drogi do miejsca polowania.

Zaledwieśmy się położyli, zaczęli się schodzić powoli, po jednemu, wieśniacy Turcy na wieczorne posiedzenie kawiarniane. Turek żyć nie może bez kawiarni. Tutejsi też nie opuszczają tego zwyczaju, bo widzimy, jak długim szeregiem w milczeniu zajmują swe miejsca. Każdy nowo przybyły monotonnie wymawia sakramentalne: „selam alejküm!” zrzuca z nóg przed swém miejscem czerwone lub czarne trzewiki, siada skrzyżowawszy nogi pod siebie, i podnosząc do czoła prawą rękę, każdemu z kolei kłania się, na co mu przywitany odpowiada tém samém, z dodatkiem wyrazu „merhaba!” To ceremonialne sadowienie się nadaje temu zgromadzeniu jakiś charakter urzędowy, z po za którego, ze mgły czasów, wygląda pierwotna forma życia cywilizowanego.

Cisza, przerywana monotonnemi powitaniami i bełkotaniem wody w nargilach, jeszcze ciągle panuje; widocznie zgromadzenie kogoś oczekuje. Ale, to jakieś głośne gadanie dolatuje z ulicy, i wyraz zadowolenia przebiega po twarzach zgromadzenia. Głosy się zbliżają, i wchodzi do kawiarni w towarzystwie dwóch innych jakiś „delikanły,” młody zuch; doliman pąsowy spadł mu z ramienia; turbanik ma jedwabny, pąsowy z żółtém; pas szeroki skręcany obwija jego mężki stan i niedbale spada na jedno biodro; szarawary z wielbłądziego sukna, tęgo podwiązane pod kolanem pąsową jedwabną z kutasikami podwiązką; wąs wyszwarcowany i ów szczególniejszy wyraz zuchowaty, cechujący hulaków Turków, co się rozlał po jego twarzy typu słowiańskiego, od razu daje poznać tutejszego dowcipnisia, „karagiöza,” bywalca stambulskiego. Głośne powitania i śmiechy witają na wstępie przybysza, który nie sadowi się obok innych, lecz bierze stołek i siada po środku zgromadzonych, tuż przy żarzącém się brazero, zwaném po tutejszemu „mangał.”

— Hassan ago! jakże odbyłeś podróż ze Stambułu? pyta przybyłego miejscowy hodża, kościelny i bakałarz,—lądem czy morzem?

Tu nastąpił śmiech powszechny. A Hassan tymczasem ciągle jeszcze mieścił się na swym stołku. Postawił nargile na ziemi pomiędzy kolanami, położył węgiel na tytuń, wysunął na wierzch srebrną rękojeść turkusami i rubinami sadzoną swego handżara, osadził na tył głowy swój zawój, przychlipnął mocno kawy i wesoło odezwał się:

— Wałła! hodżo effendi, wiem, głowa twoja jest przepełniona mądrością, jakiéj nie ma sam Szeich-ül-Islam, ale nie zgadłeś na ten raz.

— Kiedy ani lądem, ani morzem do nas nie przybyłeś, to już domyślam się jak to się stało, woła hodża: — oto musiałeś siąść okrakiem na chmurę i ta ciebie przyniosła tutaj!

— Aman! hodżo, i teraz jeszcze nie zgadłeś. Jak mnie widzisz żywego—przyjechałem karawaną po morzu. Wałła!—ciągnie wesoło Hassan.

— Waj, waj! maszałła! uf, uf! aman, aman! Hassanie, baranku, duszko! wszak pomrzemy ze śmiechu, jeśli będziesz tak gadał daléj — wołają ze wszystkich stron.

— Wielebni effendowie! słuchajcie mnie: bez żartu powiadam wam, żem przyjechał po wodzie karawaną,—z niewzruszoną miną powtarza Hassan — a oto słuchajcie jak się to stało. Jechał ze mną „mahoną” (barką) ze Stambułu jakiś hodża i miał przy sobie osła; a ponieważ było tak ciasno, że nie miałem gdzie usiąść, przeto uprosiłem hodżę, aby pozwolił mi wsiąść na jego osła. Hodża zgodził się, i oto dzięki jemu i jego osłowi, panowie, przybyłem do was konno po wodzie. Wałła! taka jest prawdziwa historya méj podróży.

Nowy aplauz śmiechu i wykrzykników powtórzył się, a Hassan tryumfująco puścił z ust kłąb dymu w stronę hodży. Widać hodża coś upatrzył w tém opowiadaniu wymierzonego do siebie, bo zapytał podstępnie:

— Powiedzże ty nam duszko, Hassanie, jakże tam było z rozpłatą przy wysiadaném—czy płaciłeś za dwóch czy tylko za jednego?

Tu posypały się nowe wybuchy śmiechu i wykrzykniki uwielbienia dla hodży; lecz i Hassan nie poddaje się, i ciągnie z udaną powagą daléj, zwracając się ku swemu antogoniście:

— Uważ-no! effendi, a słyszałeś ty, jak to było z jednym hodżą, co żartował nie już z prawowiernego, lecz z pohanego żyda?

— Nie słyszałem duszko, Hassanie ago; serce moje wielce rozraduje się, gdy to usłyszę z ust twoich.

(d. c. n.)

(*) *Kawedżi* właściciel kawiarni.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

CHOLERA INDYJSKA.

ze stanowiska geografii medycznéj i hygieny międzynarodowéj.

przez p. Fernadna Papillona.

(Revue des deux mondes).

Dalszy ciąg. (*Ob. Nr. 86*).

W pierwszych dniach 1847 r. cholera wybuchła na zachód od Kaukazu, w szeregach armii rossyjskiéj, a stopniowo ogarniała resztę Europy. I tak: w 1848 r. 5-go października statek przybywający z Hamburga i wiozący marynarzy dotkniętych cholerą zawijał w Sunderland; 24go października część Anglii stała się ofiarą zarazy; 20-go tego samego miesiąca, natychmiast po przypłynięciu statku angielskiego do Dunkierki, epidemia pokazała się na północy Francyi. Lille, Calais, Fecamp, Dieppe, Rouen, Douai, zostały kolejno nawiedzone przez klęskę. 29-go stycznia 1849 roku po przybyciu batalionu strzelców z Douai, pierwszy wypadek cholery miał miejsce w St. Denis. 7-go marca, — epidemia była już w Paryżu.

Dwie epidemie, o których mówiliśmy, są więc bezpośrednio pochodzenia azyatyckiego. Nie można tego powiedzieć o epidemii srożącéj się w Europie od 1852 r. do 1855,—nie sprawdzono przynajmniéj śladów przebiegu epidemicznego ze wschodu na zachód, i z południa ku północy. Epidemia ta objawiwszy się słabo w Czechach w końcu 1851 r., wybucha z nadzwyczajném natężeniem od maja 1852 w W. Księztwie Poznańskiém, zkąd rozprzestrzenia się najprzód na wschód, ku stronie Rossyi, potém na zachód ku Niemcom. W 1853 r. widać ją w Danii, Szwecyi, Norwegii, potém w Anglii i Francyi, gdzie nabiera najwyższego natężenia w 1854 r. W tym fatalnym roku klęska srożyła się w całéj Europie. Wielkie ruchy wojsk w téj epoce sprzyjały rozpowszechnieniu się epidemii, równie jak znaczne zbiorowiska ludzi w Turcyi i Krymie stanowiły niby drugorzędne ognisko potęgujące promieniowanie epidemiczne. Cholera z peryodu 1852—1855 ukazała się w Paryżu w listopadzie 1853 r., zesłabła w styczniu 1854,—rozbudziła się w lutym i srożyła się szczególniéj w marcu i podczas następnych miesięcy. W sierpniu pożegnała stolicę: Sześćdziesiąt departamen-

tów szczególniéj północno-wschodnie nawiedzone były przez epidemię. Zaznaczyć tu wypada że Szwajcarya która oparła się dwóm poprzednim epidemiom, tym razem haracz swój zapłacić musiała.

Widzimy, że dotąd epidemie dostawały się do Europy lądem. Epidemia z roku 1865-1866 wtargnęła do nas wodą, przez porty, głównie przez Marsylię i Konstantynopol. Cholera przywiezioną została w r. 1865 drogą przez Indyę i Jawę. Spustoszenia od téj zarazy były straszne, a pielgrzymi pod wpływem szalonéj trwogi cisnęli się tłumnie do Dżeddah (*), na morzu Czerwoném gdzie siłą prawie zdobyli sobie przyjęcie na statki płynące do Suezu. Od 17 Maja do 10 Czerwca dziesięć parowców przywiozło do tego miasta od 12-stu do 15-stu tysięcy pielgrzymów mniéj więcéj chorych, którzy ztamtąd rozproszyli się po całym Egipcie. Począwszy od 2 Czerwca Egipt był już nawiedzony przez cholerę; i wniespełna trzy miesiące stracił 60000 ludności. Strach paniczny, który zawładnął mieszkańcami wywołał znaczną emigracyę skierowaną ku wielkim miastom handlowym wybrzeża morza śródziemnego, jak np. Bajrut, Cypr, Malta, Smyrna, Konstantynopol, Tryest, Marsylia, zkąd cholera mogła łatwo przedostać się do reszty Europy (**). W innych epidemiach, choroba postępując lądem potrzebowała lat do przebycia trudnych kommunikacyj, tą razą zaś niesiona parą przez obszary wód, w kilka miesięcy panowała nad całą Europą.

Jeżeli nauka mogła z niejaką pewnością nakreślić pochód geograficzny cholery,—bezsilną jest dotychczas gdy chodzi o wyznaczenie istotnych stosunków téj choroby do sumy warunków klimaterycznych, geologicznych, ekonomicznych i t. p. Liczne i wytrwałe badania w tym przedmiocie dały rezultata wątpliwe i sprzeczne. W Europie miejscowości wzniesione uniknęły w ogóle klęski,—niemniéj jednak epidemia srożyła się na płaskowzgórzach Meksyku i na szczytach Himalai. Jeżeli miejscowości osadzone na granicie i na innych skałach ścisłych, zdawały się przedstawiać szczególne bezpieczeństwo (jak tego dowodził p. Pettenkofer),—to wiadome są inne wypadki jak np. Helsingfors, który ucierpiał od cholery w 1848 roku właśnie w dzielnicach zbudowanych na granicie,—kiedy jednocześnie dzielnice bagniste i sąsiadujące z brzegami pozostały nietknięte. Pewne okolice, jak np. Wurtemberg,—pewne miasta jak Lyon, wolne były dotyczas prawie zupełnie od spustoszeń téj klęski, z przyczyn do obecnéj chwili jeszcze nie wyjaśnionych. Jeden fakt zdaje się nie ulegać wątpliwości że wielkie nagromadzenie ludzi, sprzyja szerzeniu się epidemii. I tak wypadki w Polsce w 1831 r., były jak się zdaje przyczyną szybkiego rozprzestrzeniania się cholery w Europie. Nie ma przykładu ażeby ludność wiejska ucierpiała od epidemii jeśli poprzednio okoliczne miasta nie były nią dotknięte. W miastach, dzielnice najludniejsze i najniezdrowsze silniéj bywają opanowywane i bardziéj trapione od innych. Słowem cholera ma pewne wyłączne powinowactwo ze zbiorowiskami ludzkiemi: w nich się ześrodkowywa i przez nie się rozszerza. Fakta obserwowane są pod tym względem stanowcze i żaden argument nie ostoi się w obec nagromadzenia świadectw, które go stwierdzają. Pilne badanie epidemii dowodzi, że ani wiatrom, ani prądom wodnym, ani mniemanym rozproszeniom miazmatów przypisać należy mniéj więcéj gwałtowne szerzenie się cholery po za ogniskiem w którém powstała; powodują je raczéj: jarmarki, pielgrzymki; ruchy wojsk i inne zbiorowe przenoszenia. Podróżni zdrowi i pojedynczo przybywający, wyjątkowo chyba przenoszą epidemią z kraju zarażonego do zdrowego, ale podróżni w gromadach, między którémi znajdują się zawsze mniéj lub więcéj chorzy, wynoszą z sobą koniecznie zarody klęski. Wojna krymska dostarcza na to niejednego dowodu: wojska francuzkie wniosły wtedy cholerę na wschód. Tą samą drogą cholera dostała się w 1865 do Gwadelupy. Przykładów możnaby tu namnożyć według upodobania.

Faktem więc jest niezbitym, że cholera przechodzi z kraju do kraju przez ruch zbiorowisk ludzkich, które są jéj przenośnemi ogniskami. Postępuje ona zawsze wielkiemi liniami komunikacyjnemi, drogami uczęszczanemi, rzekami spławnemi etc. Bez względu na to czy mówić będziemy o pielgrzymach w Indyach, czy o karawanach w Azyi wyższéj i Rossyi wschodniéj lub o armiach w Kaukazie i Krymie, czy też nareszcie o emigrantach amerykańskich albo o pielgrzymach muzułmańskich wędrujących do Mekki,—warunki przenozenia epidemii są zawsze jedne i te same: szerzenie się jéj jest tém gwałtowniejsze, im szybsze są środki komunikacyjne.

Jakim sposobem człowiek przenosi cholerę? Pytanie to nie jest do dziś dnia rozwiązane. Jedni przypuszczają że zarody epidemiczne tkwią w samym organizmie, gdzie zachowują swoją żywotność, inni jak p. Pettenkofer, który ogłosił w tym przedmiocie kilka prac niepospolitych, utrzymują, że człowiek jako jednostka nie odgrywa żadnéj roli w procesie szerzenia epidemii. Lekarz monachijski twierdzi, że ani ciało żyjące, ani trup, ani wydzieliny choleryczne nie mają własności utrzymywania i mnożenia miazmatu nieznanego, który jest przyczyną rozprzestrzeniania się zarazy. Według p. Pettenkofera pochodzenia cholery nie należy nawet dopatrywać w odrębnym stanie fizyologicznym ludności Indyjskiéj mieszkającéj nad Gangesem; początku złego należałoby szukać w pewnych odrębnościach gruntu i klimatu, szerzenie się zaś epidemii ma być spowodowane jednoczesném działaniem pewnych wpływów tellurycznych i atmosferycznych. Utrzymywać, że ani człowiek ani materye zwierzęce, nie odgrywają żadnéj roli w wytworzeniu zarodków cholerycznych,—jestto może posuwać się zbyt daleko;—teorya więc p. Pettenkofera, jakkolwiek niewątpliwie dowcipna, prawdopodobnie ogólnie przyjętą nie będzie. Cholera kommunikuje się często za pośrednictwem osób, które nie są nią dotknięte: jestto jedyny argument stronników nieprzenaszalności choroby, ale dowód ten staje się bezsilnym w obec faktu: że zarodki choleryczne mogą być przyniesione z odzieżą, pakunkami, towarami etc. Kilku autorów wykazało właśnie takie fakta, a między inemi p. Grimaud de Caux. Ten ostatni twierdzi, że obserwował na poczcie marsylskiéj wypadki cholery przywiezionéj z paczkami listów.

Czy cholera jest zaraźliwą? Nie ulega wątpliwości, że epidemia ta, przywożoną bywa do danego kraju przez zbiorowiska ludzkie, które ją w innym kraju zabrały; ale udzielanie nie jest bezpośredniém. Pierwsi chorzy przybywający do miejscowości zdrowéj, zarażają atmosferę miejscową, i w téj to atmosferze zarażonéj mnożą się zarodki epidemii, która ma zabrać mniéj lub więcéj ofiar; ale ofiarami mogą być zarówno indywidyua trzymające się zdala jak jednostki zbliżające się do cholerycznych. Lekarzy bardzo niewielu umiera przy leczeniu dotkniętych cholerą. P. Papillon przypomina z tego powodu osobiste swoje doświadczenie i spostrzeżenia uczynione podczas epidemii 1865 r. w towarzystwie p.p. Legros i Goujon, w laboratoryum p. Robina w szkole praktycznéj fakultetu medycznego. Zajęci przez kilka miesięcy i bez zachowywania żadnych środków ostrożności, badaniem krwi i wydzielin cholerycznych, obserwujący nie ulegli żadnym wpływom choroby. P. Sedillat opowiada, że podczas kampanii 1831 r. w Polsce, sypiał nieraz bezkarnie na bieliźnie pochodzącéj od zmarłych na cholerę. Nie ma więc wątpliwości, że cholera nie udziela się przez zetknięcie z indywiduami lub przedmiotami zarażonemi. Jedynie powietrze, w promieniu mniéj lub więcéj ograniczonym, jest siedliskiem materyi subtelnéj i nieznanéj zawierającéj jad choleryczny; mówimy siedliskiem, nie zaś środkiem kommunikacyi, bo zaród choleryczny unoszący się w pewnym promieniu nie dąży sam z siebie od oddalenia się z zajmowanéj przestrzeni. Przyczyną pociągającą go na zewnątrz i szerzącą daléj, są nieustanne migracye ludzi. *(d. c. n.)*

(*) Dżedda jestto port na morzu Czerwoném oddalony tylko o dwa dni drogi od Mekki; tamto wsiadają na statki pielgrzymi udający się morzem do Egiptu Azyi mniejszéj etc.

(**) Śmiertelność spowodowana tą epidemią we Francyi, nie jest jeszcze dokładnie znaną. W jednym Paryżu zabrała 6,000 ofiar.

WODOSPAD TOSE

W SZWAJCARYI.

Ostatniemi czasy turyści, szukający dziko romantycznych widoków natury, zwrócili się ku południowéj stronie tak zwanéj włoskiéj Szwajcaryi, gdzie między górami Tessino i Wallis zachwycają się widokiem wodospadu Tose. Massa wody około 80 stóp objętości, spada z ogromnym łoskotem ze szczytów wzniesionych nad poziom morza przeszło na 800 stóp, a nurt jéj podwyższają jeszcze rozliczne urwiska skał i głazów, jakie w swym pędzie spotyka i nowe co chwila wyrabia,

Skutkiem tego spadek niniejszy z powodu nadzwyczajnéj swéj siły nie może być zastosowany do żadnych celów przemysłowych, a mieszkańcy okoliczni, pragnąc jakiekolwiek ciągnąć z tego źródła korzyści, na szczycie góry wznieśli odpowiedni hotel dla pomieszczenia podróżnych licznie te okolice zwiedzających.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 16 (28) Октября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20